

Kultura wg rozdzielnika

Kiedys w „Szpilkach” pisano o pewnym zebraniu zalogi jakiegoś zakładu pracy. Wypytowani „dyskutanci” uzgadniali z góry swoje wypowiedzi z dyrektorem na czele, sekretarzem partii, przewodniczącym rady zakładowej i kierownikiem personalnym.

Nie trzeba przypominać, że tego rodzaju „dyskusja” stała się poplsem co wytrawniejszych „sloganowiczów” i „frazesowiczów”. Nie wi działem takiego zebrania i nie mogę go sobie wyobrazić. W każdym razie dziś wywołałoby efekty zgoła humorystyczne.

Opowiadał mi jeden z moich znajomych, iż zaintrygowany go raz fałszywe — jego zdaniem — oceny „Jury” konkursu recytatorów. Aże by przekonać się, czy ma rację, za pisał „incognito” do konkursu w grupie amatorów swego przyjaciela, młodego i utalentowanego aktora jednego z warszawskich teatrów — znanego z dobrej recytacji wierszy. Aktor przyjechał w tym czasie na urlop do miasta, gdzie odbywał się konkurs. „Jury” zdyskwali fikowało recytatora już w pierwszym etapie! Rzekomo wadliwie interpretował wiersz, za który dostał kiedyś bardzo dobrą ocenę u „samiego Zelterowicza. Komisja prze puściła natomiast wielu kandydatów, już to spełniających, już to wy krzykujących wiersz z przesadną emfazą. Jak dowiedział się mój zna jomy „na ucho”, selekcja recyta torów odbywała się według roz dzielnika branżowego. Zgodnie z tym, z konkursu „powinien” wyjść zwycięsko co najmniej 1 robotnik budowlany, 1 ekspedient MHD, 1 milicjant, 1 urzędnik, 1 kolejarz itd. Tak więc w żadnym wypadku nie do pomyślenia byłaby w konkursie supremacja, np. przedstawicieli przedsiębiorstwa barów mlecznych, nawet gdyby recytowali Mickiewicza lepiej od Elżbiety Barszczewskiej.

Mimo woli rozpruwamy podszewkę jednego z typowych sloganów naszego życia kulturalnego. Slogan ten, sprowadzając rzecz do absurdu, chce mówić w nas, że gdy jemy, to nie dlatego iż jesteśmy głodni, lecz dlatego iż jesteśmy „uświadomieni politycznie”. Pisano o tym niedawno w „Trybunie Ludu” z okazji omawiania wydanej przez „Polgłos” książki kucharskiej, opatrzonej obfitym „komentarzem ideologicznym”. Slogan ten jest wytworem bardzo szczególnej choroby. Ludzie, opętani tą manią, że oceną np. w konkursie recytacji występ członka rzemieślniczej spółdzielni fryzjerów, mówiącego bezbłędnie wiersz Mickiewicza pt.: „Golono, strzyżono”, a to dlatego, iż będą uważali, że kandydat ten ze względu na swoiste powinowactwo swego zawodu z tematyką wiersza, dopuścił się celowej i świadomej w ich oczach parodii społeczno-politycznej wartości konkursu itd. itd.

Przypuśćmy jednak, że kandydat nie dopuścił się tego rodzaju przestępstwa. Czy nic już nie stoi na przeszkodzie, aby zakwalifikowano go do drugiego etapu konkursu? Bynajmniej. „Jury” prowadzi tak że nieoficjalną punktację, uwzględniającą społeczną aktywność kandydata poza konkursem. A więc zdarzyć się może, że nasz kandydat, świetnie recytujący wiersz, ma tego rodzaju plamę w pracy społecznej, bo nie chciał np. w godzinach pozaszkolowych wycinać z kartonu kolorowych hasel dla świetlicy związkowej.

Tego rodzaju dyrektywność i karykaturalna intencjonalność postępowania młsi się srodze na wartości wszystkich urządzeń kulturalnych, a w szczególności na ich żywym obiekcie: ludziach — twórcach i ludziach — odbiorcach dóbr kulturalnych. Niebezpieczeństwo ta kie mechanizacji dyrektywności celowej, że ją tak nazwiemy, było sygnalizowane już nieraz. Pisał o nim Putrament, zarzucając naszej prasie to, iż eliminuje ze swoich szpałt wszystkich tego rodzaju materiał informacyjny ze świata (łącznie z informacją o wybuchu wulkanu), który nie ilustruje i nie potwierdza jakiejś istotnej dla nas tezy politycznej. Tak samo profesor Schaff, krytykując instytucję aspirantury, zwrócił uwagę na to, że różne nasze urządzenia humanistyczne tracą na wartości przez to, iż przykładają się do nich kryteria produkcyjne.

Najbardziej wulgarny schematyzm w ocenieniu i komenderowaniu życia kulturalnym, przejawia się w ruchu amatorskim, bo członkowie jego dużą częścią swej osobowości tkwią właśnie zawodowo w życiu produkcyjnym i administracyjnym. Dlatego szybko zniszczymy radość i twórczą postawę młodego i zdolnego zespołu amatorskiego, jeśli treść i formę jego występów sprowadzimy wyłącznie do ilustracji lub swoistych wykresów wykonania planu produkcyjnego zakładu lub jego zadań administracyjnych.

BOGDAN DANOWICZ

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok VI numer 44

Niedziela, 20 XI 1955

Fritz Erpenbeck

Problem teatru w NRD

W rozwoju życia teatralnego w Niemieckiej Republice Demokratycznej dość wyraźnie wyodrębniają się cztery okresy. Oczywiście nie ma między nimi jakichś ostrych granic. Okresy te zajął się o siebie nawzajem. Na terenach wy zwolonych w 1945 roku przez armię radziecką, dzięki ogromnemu materialnemu i ideologicznemu poparciu armii wyzwolonej, budziło się natychmiast życie teatralne, na skutek „totalnej wojny” od lat systematycznie tłumione przez hitlerowców. W tym pierwszym okresie, jak można się było spodziewać, działalność teatralna przejawiała wiele spontaniczności i przypadkowości. Cechował ją jednak ra dosny entuzjazm.

Repertuar uzależniony był w dużej mierze od tego, jakie teksty w danym momencie można było zdobyć. Albowiem bi blioteki teatralne były w wiek szości wywiezione, rozbite lub popalone. Przy ustalaniu repertuaru opierano się głównie na dziełach klasyków i na dramatach z okresu realizmu krytycznego. Domniemany reko pisów, ukrytych, jak się spodziewano, w biurkach pozostałych w kraju antyfaszystowskich pisarzy, ku ogólnemu rozczarowaniu, nie znaleziono. Jednakże dramaturgowie emigracyjni, w szczególności Fryderyk Wolf, Bertolt Brecht, Gustav von Wangenheim, Rudolf Leonhard, Julius Hay i



Znakomita artystka Helena Weigel i Ernst Busch w sztuce „Mutter Courage” — Brechta.

Hedda Zinner, przywieźli znaczną liczbę poważnych utworów scenicznych, torując w ten sposób drogę współczesnym dramatom.

Dążenie do stworzenia repertuaru nowoczesnego — przez który to termin rozumieć należy również i sztuki historycznej z punktu widzenia naszych czasów — jest cechą charakterystyczną drugiego etapu rozwoju teatru. Niestety w zakresie naszej rodzimej twórczości dramaturgicznej musiały początkowo „chęci starczyć za uczynki”. Sztuki były schematyczne i albo ukazywały naturalistyczny obraz danego środowiska, zamiast chwycić życie „na gorąco”, w ruchu, albo też „ilustrowały” — i to najczęściej deklaratywne — polityczne konflikty i wydarzenia. Chociaż u nas nigdy nie panowała szkodliwa teoria bezkonfliktowości, jednakże konflikty w sztukach były najczęściej tylko słabo nakreślone lub pozorne. Zamiast dramatycznej akcji zawiądnęła scena dyskusja. Postacie były po prostu „wcieleniem ideału”, a nie ludźmi z krwi i kości. Dopiero dobre sztuki radzieckie, które już od 1945 roku przy różnych okazjach pojawiały się na naszych scenach, oraz kilka polskich sztuk, stało się bodźcem dla naszej własnej twórczości dramaturgicznej.

Nie wolno tu nie wspomnieć i o tym, że w drugim okre

sie swego rozwoju (przyjmijmy, że przypadał on na lata 1947 do 1952) teatry nasze otrzymały potężny impuls w dziedzinie reżyserii i zasad inscenizacji. Zapoznano się bowiem w tym czasie z pracami K. S. Stanisławskiego, propagowanymi już od 1945 roku przez profesora Maksima Valentina i jego Instytut w Weimarze. Jednakże już w tym właśnie czasie zaczynamy niejednokrotnie popełniać ten błąd, że lekceważymy swą narodową tradycję. Zaczynamy też brać górę tendencje, które w „Systemie” Stanisławskiego chcą sprowadzić do recepty, jakiegoś dogmatycznego podręcznika. Mimo jednak wszystkich błędów i nieporozumień, poznanie Stanisławskiego okazało się owocne dla naszej twórczości, za co winniśmy na zawsze głęboką wdzięczność.

Widoczny zwrot nastąpił tą chwilą, gdy na początku 1954 roku utworzono u nas Ministerstwo Kultury, na którego czele stanął znany poeta Johannes R. Becher. Nie dlatego, żeby to Ministerstwo z miejsca potrafiło wszystkiemu zaradzić, ale dlatego, że uczyniło ono najistotniejszą rzecz, jaką można było zrobić, aby zapoczątkować obecne stadium rozwoju naszego teatru: Ministerstwo odrzuciło znaczną część biurokratycznych więzów, zlikwidowało administracyjną kuratelę, a w zamian za cześć okazywać zrozumienie dla sztuki i służyć życzliwą radą.

Dlatego też należy stwierdzić, że w sezonie 1954/55 zrobiliśmy pewne postępy, które napędzają nas radością i pozwalają z nadzieją patrzeć w przyszłość. Dyskusje, jakie się toczą nad naszymi problemami, są szczerze i życzliwe. W teatrach napotykamy liczne próby nowatorstwa, choć wyniki ich są jeszcze nieraz niezadowalające. Grana jest, i to nie bez powodzenia, znaczna ilość nowych utworów dramatycznych, po większej części pióra młodych pisarzy. Ponieważ tytuły niewiele mówią, ograniczę się tutaj do wy szelególnienia tylko kilku charakterystycznych dzieł: Erwin Strittmattier napisał wierszowa ny dramat wiejski („Katzgraben”) — „bohaterstwo”, o jakim kilka lat temu nie odważono by się pomyśleć; Bertolt Brecht wystawił tę sztukę.

Alfred Matusche wystawił w „Deutsches Theater” w Berlinie gorącą dyskusowaną, ale świadcząca o dużym talencie

(Dokończenie na str. 2)

Czesław Michniak

ŁADOWACZ i MILICJANT

Ulica Szczęśliwą szedł spiesźnie mężczyzna w granatowym prochowcu. Nad podniesionym kornierzem sterczał czubek odkrytej głowy. Wiatr bawił się włosami, które stawały dęba.

Mężczyzna niósł na plecach składane, turystyczne łóżko. Dłonie miał wielkie, kwadratowe o skórze popekanej, paznokcie czarne na końcach, jak u ludzi ciężko pracujących fizycznie.

Obok dreptał duży, kudłaty pies nieokreślonej rasy z ogonem podobnym do lisiej kity, wtulonym między nogi. Człowiek nachylił się i wtedy na jego głowie zabiła krząkałkę łysinki wielkości guzika od palta. Była to pamiątka wojenna?

Zatrzymali się przed wysoką kamienicą. Na gzymsie pierwszego piętra siedział kamienny amarek, patrząc bezmyślnie na drzewa obdarte z liści.

— To tutaj — rzekł mężczyzna, niewiedomo do kogo.

Podwórce zamykały z trzech stron obdrapane oficyny, stało tam kilka kubiów na śmieci i drewniany trzepak podobny do szubienicy. Człowiek z psem weszli do ubikacji i tam prze czekali do wieczora.

Zegar na wieży kościelnej wybił dziesiątą, rozległ się hałas zamykanej bramy, zaszurały buty na schodach suterenu. Światła gasły po kolei. Nastąpiła upragniona ciemność.

To mieszkanie znajdowało się, chwala Bogu, na parterze. Przechrztał się, mężczyzna wykrócił diamentem szybę, otworzył okno, przez które wciągnął łóżko. Pies hycnął za nim.

Forteca została zdobyta. Następnego dnia rano miały nadejść posiłki w osobach żony i teściowej, uzbrojonych w lustro, kilka krzeseł i obraz.

Pokój był pusty. W rogu piec szklął się kablami, opierał niemal o sufit. Mężczyzna rozstawił z trzaskiem łóżko i stękając ułożył się do snu. Przykrył się z psem prochowcem, bo wiało (dziura w szybie!), po czym człowiek puścił wodze myślom.

No, i co mu zrobić? Od pięciu lat ładował węgiel na parowoz. Ojciec wystawał miśnięmi, rozumie się, za sanacją, przed pośrednictwem pracy, matka z małorolnych, żona z małorolnych. Pochodzenie społeczne pierwszej klasy. „Jak u ministra”, otworzył oczy.

Pół roku temu poszedł do kwatranku, a tam jeden z szelkach powiedział: „Piszcie towarzyszu, wniosek” i pociągnął łyżeczek herbaty ze szklanki. „Panie radco, napisałem, czekam”, rzekł ładowacz. „Moja przy nadziei, sufit jak sito, w czasie deszczu podstawiamy miecie”. To znowu urzędnik powiedział: „Oczywiście, do brze uczyniście, czekajcie, towarzyszu. Przed wami jest jeszcze około dwóch tysięcy, jakby małe miasteczko z ratuszem na rynku”. Wtedy ładowacz zaklął paskudnie i wyszedł z biura. Tego samego dnia jeden pośrednik za dwie stówki zdradził mu adres wolnego mieszkania, oczywiście zaplombowanego, które starał się pewien przywa

ciarz. Nazywał się Sosna. U tej Sosny rodzice ładowacza brali przed wojną na książeczkę, bo miał, cholera, sklepik. Na końcu miesiąca dopisywał procenty, a każdego pierwszego przysyłał do nich swego subiekta, rudego Gienka, po pieniądze. Ładowacz do dziś pamiętał atramentowy ołówek, którym pan Bonifacy Sosna kreślił kolumny cyfr, jego załuszczone notes oraz zapach cynamonu, mydła i jeszcze czegoś, tworzący w sklepie jakąś dziwną mieszaninę woni. Wtedy im się dobrze wiodło. Kilka placów, domy. A dziś? Do spółki z synem założył interes: „Warsztaty Samochodowe Bonifacy Sosna i Syn”. Placie i domy mają, jak mieli. Kupili

roczący, pewno dozorecy, drugi młody, ostry, rozkazujący, i trzeci, który ciągle powtarzał „słusznie, tak trzeba”, a brzmiał wysoko, lekliwie.

— Otwierać, milicja — zawołał baryton. Targnął klamkę.

— Czynniki społeczny — se kundował cieńszy głos.

— Ja tu mieszkam — krzyknął ładowacz. Zerwał się z łóżka. Pies, ujadając, skoczył ku drzwiom, wsparł się o nie łapiąc.

— Nie macie przydziału, obywatelu — odezwał się znowu ostry głos — otwórzcie, bo... — groził.

Zazgrzytał klucz.

— Krew za Polskę Ludową przelewał, żona w ciąży, je stem robotnikiem — ładowacz wysunął najpoważniejsze argumenty.

Na progu uka zał się dozorca w waciaku, wasal z tradycyjną miotłą w ręku. Za nim stał milicjant. Twarz miał wąską, suchą, zakrzepłą w oficjalnym marsie. Pod nosem czar ny wąs.

— Patrzenie — ładowacz wy ciągnął swoje kwadratowe dło nie — patrzenie, oto bliźna, nie bliźna, dziura w głowie. Z Berlina.

— Jestem przewodniczącym komitetu blokowego — przedstawił się ten trzeci, drobny czelczyna.

— Wasz dowód? — zapytał oziębły milicjant, jakby nie słyszał słów ładowacza. — Bezprawie chcecie wprowadzić w Polskę Ludową, co?

— Nie wyjdę. Dozorca przy pomocy przewodniczącego komitetu blokowego wyciągnął łóżko na korytarz. — A pójdziesz, hycłu — opędał się przed psem, który zachęcony postawą swego pana usiłował „czynnik społeczny” złapać za nogawkę od spodni.

Ładowacz rzucił się na dozorcę.

— Puść to!

— Chuligan! — przewodniczący odskoczył jak piłeczka ping-pongowa.

Hola, obywatelu — milicjant zbliżył do ładowacza twarz groźnie wykrzywioną. — Proszę o dowód — nastawał. Chwycił go za ramię.

W odpowiedzi ładowaczowi stanął przed oczami wielki brzuch żony, kurk na poddaszu i... uśmiechnięty Sosna z wnukami, mknący nowiutką IFA do lasu w Puszczykowie.

— Spekulanty cię przekupili, cholero — zachrypiał. Łzy piekły mu policzki. Jakże w tej chwili nienawidził milicjanta. Pchnął go silnie na ścianę.

— Auaaa! — krzyknął boleśnie sierżant. Czapka szamrowana srebrem sfrunęła ciężko na ziemię.

— Jezusie, mordują — zawołał dozorca.

— Chuligan!

— Tu masz dowód — ładowacz wypiął tylną część ciała. Gwizdnął na psa. Pobiegł w kierunku okna.

Za chwilę brzęknęło tłuczone szkło, mignęła poła granatowego prochowca i kawałek pustego ogona. Tyle ich widzieli.

Milicjant spisał protokół i z siniakiem nad czołem poszedł na piwo do kantyny.

— Ależ upalna była ta wiosna niedziela! Park dyszał jak zmęczony piechur. Tłum drzew, wachlując się liśćmi, otaczał sadzawkę w kształcie elipsy. Od asfaltu niósł się szum aut. Gdzieś niedaleko, zapewne w kawiarni, skrzeczał jazz.

Na piasku alejki wyrósł długi, wąski cień, obok mały bardzo ruchliwy. Zaszeleściły kroki, oddechy.

Właścicielem większego cienia był ładowacz ubrany w granatowy świąteczny garnitur z

(Dokończenie na str. 2)



Rys. L. Kapczyński



W Tygodniu Przyjaźni z Demokratycznymi Niemcami uczucia nasze zwracają się ku sąsiadom zza Odry, którzy ożywieni pragnieniem pokoju budują w swej ojczyźnie nowe życie. Oto Berlin, stolica NRD — widok na jedną z najpiękniejszych ulic — Stalin-Allee.

ŁADOWACZ I MILICJANT

Dokończenie ze str. 1

pedetowskiego materiału. Koszule zdobit wiśniowy krawat. Od mężczyzny szedł mdły zapach wody lawendowej i potu. Ładowaczowi towarzyszył jak zwykle pies, podobny z racji swego ogona do lisa. Wskoczył zwinnie na ławkę, pomalowaną na żółto.

Ładowacz poglaskał psa, który klapał szczękami. Językiem popchnął muchę, zaplatała się gdzieś między zębami. Przełknął, po czym spojrzawszy przed siebie szczerzał ostrzegawczo. Zjeżył sierść.

Mężczyzna podniósł wzrok i zdrętwiał. Naprzeciwko stał milicjant w nowym, paradnym mundurze. Sierżant był dziś świeżo ogolony, waz zgrabnie przystrojony. Oczy błyszczały podnieceniem.

— My się znamy — rzekł. Ładowacz milczał.

— Zniwazyliście funkcjonariusza władz bezpieczeństwa w czasie pełnienia przez niego obowiązków służbowych — milicjant wyrecytował prokuratorskim tonem.

Tak jest, to podpadało pod któryś tam paragraf kodeksu karnego. Ładowacz zadrżał. Milicjant trzymał go w garści jak wróbla.

— Nie wolno — powiedział surowo milicjant.

Zaległa cisza.

— Odpocznę trochę — wskazał ręką ławkę. Usiadł.

Na mundurze milicjanta czerwiała cieniutka wstążeczka.

— Ojciec? — zaryzykował nagle ładowacz.

— Zmarło mu się, będzie już miesiąc...

Milczeli, pies kończył raną toaletę.

— Ot, całe życie chromał — ciągnął markotnie milicjant — z japońskiej przyniósł ranę w nodze, utykał.

— Mój też utykał — wtrącił ładowacz — stawy mu puchły...

— Reumatyzm — uzupełnił milicjant. Przez oczy przeleciały jakieś cieplejsze błyski.

— Ha, tak to jest — westchnął ładowacz. — Może papierosa — podsunął otwarte pudełko.

Tamten wstrząsnął głową. Nie palił. A zresztą... służba.

— Mój był robotnikiem —

pochwalał się ładowacz, myśląc o łagodniejszym wymiarze kary. — Poszukiwaczem pracy — poprawił. Spojrzał na milicjanta z triumfem.

— Aha! Dobrzeście to określili, poszukiwaczem... Mój był stajennym w majątku hrabiiego. To był skurwysyn, chociaż może nie taki zły, ale zawsze

czuły jak rzeźby na oitarzu w kościele. Piłtno wydawało się ciemne, ale po chwili patrzenia odróżniał już kilka jaskrawych plam. Co one przedstawiały, tego nie wiedział. Kiedyś na tej obserwacji przyłapał go sam hrabia. „Poszedł precz, gnojku, już cię nie ma”. Tak go przywitał i pożegnał. Chłopak zmiał aż się kurzyło.

Ładowacz kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Po wyzwoleniu dostaliśmy 5 hektarów z reformy rolnej, co było wymierzaniem sprawiedliwości społecznej przez władzę ludową wszystkim — mówił milicjant. — Ale mnie to nie wystarczało...

Pewnego wieczoru, gdy stara hrabina szykowała się do wyjazdu, po wyjściu szyby, wlaźł przez okno do tego ich salonu. Obraz wisiał na swoim miejscu. Zdjąłem go ostrożnie ze ściany. Jakież był piękny! Przedstawiał jakiegoś ptaka i owoce. Parę jabłek, marchew, dynię i jeszcze coś. To wszystko, jak mi mówiła służąca z kredensu, namalował pewien sławny Holender. A teraz dotykał tego moje ręce, rozumiesz? Chciało mi się skakać z radości. Nagle otworzy się drzwi i do salonu wbiegła siwa hrabina: „Józiu, moje dziecko, proszę, to jest nasza pamiątka rodzinna”. Ukłękła przede mną i dawała błagać, żeby tej martwej natury, jak się uczenie wyraziła, jej nie zabierać, że jej matka umierając, patrzyła się na tę niezwywą papugę... Ot, takie pańskie fanaberie — powiedział lekceważąco milicjant.

— No, tak — rzekł ładowacz.

— Pomyśl, cieszył mnie płacz hrabiny i nerwowe ruchy jej pokrzywionych palców — podniósł na chwilę głowę, wbił wzrok w beczmurne niebo. — „Niech idzie spać”, powiedziałem babie i wyszedłem z tym ptakiem na dwór, podśpiewując wesołą piosenkę, której nauczyłem się od żołnierzy radzieckich.

— A co ty byś zrobił na moim miejscu?

— Wziąłbym — odpowiedział ładowacz bez namysłu.

— Nie wiem, czy masz rację, zresztą słuchaj — potrząsnął głową.

Cieźki był, bestia, ten Holender. W jednej z bocznych alejek ogrodu osłepił chłopca smugą światła z latarki kieszonkowej. „Stój, kto?” Był to głos komendanta milicji wiejskiej. Obok stał drugi z pepeszką. „Ja, Bąk”. „A co ty nieśiesz, ha?” „Obraz”. Towarzysz komendanta emknął ustami.

— Widzisz, nasze prawo, rzecz święta — powiedział milicjant Bąk. Płasnął dłońią o ławkę.

Ładowacz milczał. Pies oparł pysk o łapy, drzemał.

— My tu sobie gadu-gadu, a minuty leżą — rzekł Bąk innym jakimś, obcym głosem. — Proszę za mną — ciągnął ładowato. Prysęła atmosfera pewnej poufałości. Wstał, energicznie poprawił pas. Nie ulegało wątpliwości, że zaprowadzi ładowacza na komisariat. Mężczyznę obleciał strach. Przeżegnał się ukradkiem.

Niebo powlekły chmury. W oddali przewalił się grzmot. Wyszedł z parku, zagłębiając się w labirynt ulic. Kąrzyli tak kilkanaście minut, po czym znów znaleźli się naprzeciwko zielonej ściany drzew. Milicjant głęboko zamysłony spoglądał czasami na swego aresztanta i wtedy w oczach malowały się najrozmaitsze uczucia. Gdy coś wazył w umyśle, natenczas zwalniał kroku, a na czoło rysowały się sznureczki zmarszczek. Potem powziawszy widocznie jakieś nieodwołalne postanowienie szedł spreżyście, zmuszając towarzyszącego mu człowieka z psem do marszowego wysiłku. „Raz by się ten cholerny spacer skończył”, pomyślał ładowacz. Na skroni poczuł pocałunek jakby zimnych, wilgotnych ust. Inne krople usiadły mu na policzku.

Skreślił w ulicę Szcześliwą, numer 14; tutaj wznosiła się wysoka kamienica. Amorek na gzymsie siusiał deszczem. Z bramy wyprysnęli chłopiec w berecie i smukła dziewczyna, trzymali się za ręce.

Na podwórzu, otoczonym popielatymi oficynami, ładowacz dostrzegł zastęp kubiów na śmieci. W oknie tego mieszkania zwiślały firanki, a więc było już zamieszkałe. Ukazała się głowa mężczyzny, podłużna twarz, blond włosy. To nie był Sosna.

Ładowacz odetchnął z ulgą. Odwrócił się i omal nie krzyknął ze zdziwienia. Został sam. Milicjant oddalał się żołnierskim, energicznym krokiem, stukając podkówkami o kamienie.

Mężczyzna stał bez ruchu, nie nie pojmował.

„No, więc dla czego mnie nie zamknął?” zadał sobie pytanie. „Co za dziwny facet! Przecież nasze prawo...” przypomnieli mu się gorące słowa sierżanta.

Rzeczywiście, dlaczego?

Nagle oślnięła go myśl. „Gryzie, bracie, ten sam robak, co i mnie” — zawołał w prześtrzeź.

Zobaczył milicjanta na brzegu jezdnii, wpatrującego się w głąb ulicy. Podobny był do marynarza, który obserwuje z bocianego gniazda pomarszczoną tafłę morza.

Czesław MICHNIAK

(Z tomu opowiadań, który ukaże się w roku przyszłym nakładem „Czytelnika”).

Przemysław Bystrzycki

Kilka uwag o »Nocnym zrzućcie«

Czy powieść Piotra Guzgo „Nocny zrzuć” jest sensacyjną? W literaturze jest jak w... zoologii. Nie tylko dlatego, że walka o przewoźnictwo i autorytet odbywa się z równym zaangażowaniem sił, jak u pewnych gatunków czworonogów. W literaturze dlatego jest jak w zoologii, ponieważ każdy tradycyjny rodzaj literacki (powieść, powieść, dramat itd.) ma podgatunki, rodzaje, rządy i jeszcze dalej według mądrego klucza systematyki.

Powieść Guzgo nie jest sensacyjną. Ścisłej — nie jest sensacyjną, w rozumieniu „klasycznym”, jak np. u Doyle’a. Ten budował swoje utwory na surowym prawie przesłanki i wniosków, niemal na syllogizmach logicznych, a już na pewno wg równania matematycznego. Niewiadoma „x” — to on: morderca, złoźczyca, typ spod ciemnej gwiazdy, którego szuka Sherlock Holmes, najbardziej angielski dzień telmen wśród Brytyjczyków, najwytrawniejszy detektyw wśród intelektualistów i najczystszy intelektualista wśród detektywów. Ta literatura nawiązująca do racjonalnego, chłodnego rozsądku i zimnej refleksji Oświecenia dziś jeszcze bawi, podnieca i dostarcza porcji emocji i przeżyć, jakiej żyć tylko polskiemu filmowi.

Guz jest „przygodowy”. Powieści nie „robią” trupy w wannie usiane na drodze bohatera, ani ilość wypitej whisky w nocnych lokalach Londynu. Los „faceta” jest ważny. Skąd wyszedł i zaszedł w przygodzie powieściowej, jak on to zrobił, co z tego wynika? Najistotniejsze jest pytanie środkowe: jak on to zrobił? Ale aby odpowiedzieć, potrzeba realfów, znajomości metod i rzeczy. Wyobraźni może starczyć na traktat o podróży na Marsa, wyobraźnia może zawieść i z reguły zawodzi, gdy poddajemy ją próbie mówienia o wąskim kręgu specjalności (tu zbrodniczej: szpiegostwo). Z braku wiedzy powstaje jakiś obraz pozorny o prawdziwości tak bardzo umownej, jak w teatrze dla dzieci: kukiełka raz jest zającem, raz myśliwym, skąd zado wolenie tylko dla pięcioletków. Nie namawiam autora, aby wstąpił do obcego wywiadu. Namawiam autora o większą zapobiegliwość w zbieraniu wiedzy o tematyce, o to, by był mądrzejszy od czytelnika, lub podejmował temat dający więcej swobody.

Półowa książki to środowisko londyńskie, gdzie bohater — tożub Karolus kręcił się, pije kawę (w olbrzymiej ilości) i whisky (toż samo), kocha. Posadzony o morderstwo ucieka w charakterze szpiega przed angielską policją do... Polski. Rzykowna to eskapada, zważywszy, że tam najwyższemu kikutni w rok (za poprzedni udział w napadzie na bank), w kraju zaś spaść może główka. Ale niech tam. Amerykanie nasytają do nas szpiegów — to fakt.

Autor z tym faktem liczy się bardzo poważnie. Musi to jednak uzasadnić w zakresie przeżyć bohatera. Temu uzasadnieniu służy pierwsza część książki — równa połowa. Są to partie napisane z serdecznym odczuciem (odczucia) nie szukać w naszej powojennej literaturze, nawet w „Ostatnich ogniskach” Zielińskiego. Mimo sensacyjnego założenia, mimo zamiaru pchania wypadków fabuły w pospiesznym rytmie, odczuwamy te wędrówki Karolusa w sposób podobny trochę do nocnych tarapatów John’ego, samotnego bohatera, ze świetnego angielskiego filmu: „Niepotrzebni mogą odejść”. Tak, tutaj Guzy jest w swoim sosie.

Ala po przereczeniu ostatniej karty powieści zapytałem: po co ten wstęp, czyli pierwsza połowa? Ciekawo w sobie, racja, czy służąca jednak nadrzdnemu celowi postawionemu przez temat? Jestem zdania, że bez szkody dla drugiej partii „Zrzuć”, w którym akcja toczy się w Polsce, wszystkie wydarzenia pierwszej części można było zamknąć w jednym rozdziale. Wówczas książka nie miałaby pęknięcia kompozycyjnego, idącego akurat przez sam środek.

Owa druga część nie jest nam tak bliska jak pierwsza. Jeszcze gdzieś niedaleko temperatura atmosfery podskoczy (Karolus plus Nina razy miłość), ale już brniemy w masie zrelacjonowanych wydarzeń, drobnych, często błahych czynności, krótkich rodzajowych opisów albo... albo życiorysów.

Guzy chce, by pochodzenie jego bohaterów czytelnik znał niemal od biblijnego potopu. Naprawdę irytują** te beletrystyczne dowody, że 30-letni na przykład facet żył także przed 5 laty. Ta reguła

stosowana uparcie do każdej, nawet marginesowej postaci, zwalnia akcję i nuży. Gdzie jak gdzie, ale w książce sensacyjnej czy przygodowej mądra zasada Czechowa winna znaleźć odbicie: w dobrej powieści, jak na pokładzie wojennego okrętu — wszystko jest potrzebne.

Czytelnik ostatecznie zapyta: dobra książka czy zła? Odpowiem — książka ciekawa, mimo wytkniętych braków, książkę przeczytać warto. Poznański autor jako jeden z nielicznych przerwał znowu milczenia wokół sensacyjnego tematu, dał wprawdzie powieść do której się nie powraca, ale czytana z zapałem.

Powinniśmy ten rodzaj literatury hołubić i wykształcać przez apel o podporządkowanie środków pisarskich tematowi, w którym, jak u Czechowa (znowu), dubeltówka zawieszona w pierwszym akcie na ścianie, w ostatnim powinna wystrzelić. Tak robił Conan Doyle i został klasykiem. Więc nie tylko dlatego został klasykiem, że umarł.

*) Piotr Guzy — „Nocny zrzuć”, wyd. MON, stron 201, 1955.
**) Trudno, drogi Piotrze!

Na taśmie filmowej przez świat



ANGLIA. — Jednym z największych sukcesów ostatnich lat był film „Opera żebracza”, zrealizowany na podstawie opery Gay’a sprzed 200 lat. Reżyser — Herbert Wilcox, twórca wielu wybitnych filmów angielskich, postanowił przenieść to dzieło na ekran, nie oddalając się zbyt daleko od tekstu, ani od nastroju operowego. „Opera żebracza” znacznie unowocześniona przez Brechta i zatytułowana: „Opera za trzy grosze”, była już kiedyś sfilmowana przez słynnego reżysera — Pabst’a. Nowa wersja jest barwna i odznaczona jest tym, że głównym bohaterem jest pamiętny „Hamlet”, Laurence Olivier, który gra i śpiewa (zdjęcie górne).

FRANCJA. — Twórca filmu „Craignebille” (Przed sądem) Ralph Habib, który dotychczas uchodził za bardzo przeciętnego realizatora, wyróżnił się ostatnio filmem „Ludzie w biele” w doskonałej obsadzie: Raymond Pellegrin, Jean Chevrier i Fernand Ledoux. W pierwszej części film ukazuje lekarzy na tle luksusowo wyposażonego szpitala w Paryżu, a w drugiej smutną praktykę na wsi po wielkich nadziejach, jakie stwarzają studia medyczne. Film jest głęboko ludzki i wzruszający.

STANY ZJEDNOCZONE. — Znakomity aktor — Charles Laughton, którego pamiętamy z epizodu w filmie „Historia jednego fraka”, a wkrótce ujrzymy w „Damie z portretu” i „Prywatnym życiu Henryka VIII”, stał się ostatnio reżyserem. Twierdzi, że na każde trzy filmy, które wyreżyseruje, zagra tylko w jednym i to obcym! Pierwszy jego film doczekał się bardzo gorącego przyjęcia przez krytykę i publiczność. Jest to dramat kryminalny: „Noc pościgu” z Robertem Mitchumem, Shelley Winters i bardzo dawno nie widzianą Lilian Gish w rolach głównych.

Fritz Erpenbeck



Rys. L. Kapezyński

graf — wydał pogardliwie usta. — Do ojca odzywał się „Niech Józef zrobi”. Niech to, niech tamto. A raz lunął go w głowę tylko za to, że koń miał plamkę kurzu na zadzie. Tycia plamkę — pokazał paznokciem małego palca. „Niech sobie pamięta”, — rzekł wtedy ten koński wujek do ojca.

— A coście robili przed wojną, w czasie okupacji? No? — zapytał ładowacza ostro, jak na śledztwie, chcąc chyba wymacać słaby punkt, aby tym pewniej zadać decydujący cios. Ale zaraz zachnął się, jakby na siebie: — Et, młodszy był! — Trochę chodziłem do szkoły...

— Właśnie — szybko przytaknął, spodziewał się chyba tej odpowiedzi. — A ja? — zamyslił się.

Często wótczył się po podwórzu dworskim, a czasami, gdy hrabiostwo wyjeżdżało do miasta, zakradał się pod okna pałacu. W salonie wisiał obraz w szerokich, złotych ramach, które, oświetlone słońcem, bliz

Zbliżył się, na ramieniu miał opaskę. „Fajny obraz”, przejechał światłem po papudze i przyległościach. „A skąd ty go masz?” „Zabrałem skurwysynowi z salonu”, rzekł śmiało Bąk. „On lał ojca po głbie, traktował gorzej niż bydlę, to ja sobie wziąłem...”. „Nic z tego nie będzie”, powiedział komendant. „Co, to jest przecież mój obraz. Wot, eto dzieło”, rzekł chłopak dla dodania sobie odwagi. „Jest rewolucja, czy nie ma rewolucji?” Ten z pepeszką zaśmiał się jak głupi. „Cicho, Jopek, znowuś się uchlał”, skarcił go komendant. „Obraz jest nasz, chodź z nami!”, zwrócił się do chłopca, oddasz tę papugę na posterunku”, nie sobie nie robił z bakowej tromtadracji. „Pójdźcie do muzeum, jak przykazano”, dodał spokojnie ten z pepeszką. „Nie dami, nie”, chłopak zrobił krok do tyłu. „Stój, bo będzie źle”, zawołał komendant. Jopek zarepetował broń. Na posterunku Bąk otrzymał pokwitowanie. Wrócił do domu bez obrazu.

Problem teatru w NRD

(Dokończenie ze str. 1)

sztukę, której treścią była przyjaźń niemiecko-polska.

Mamy kilka nowych komedii i librett operetkowych — dotychczas była to słaba strona naszej produkcji dramatycznej. Znanie stają się także na arenie międzynarodowej osiągnięcia dramatyczne Bertolta Brechta — laureata Nagrody Państwowej i laureata Stalinowskiej Nagrody Pokoju; jego ostatni berliński spektakl („Kaukaskie kredowe koło”), wywołał wprawdzie żywą dyskusję, w każdym razie jednak jest wielkim wydarzeniem zarówno literackim, jak i teatralnym. To samo powiedziele należy o poemacie Johanna R. Bechera „Winterschlacht”

Komedie satyryczną Heina Kippardta „Szekspir pilnie poszukiwany” wystawiało ponad 30 teatrów w Niemieckiej Republice Demokratycznej, a także idzie ona obecnie z dużym powodzeniem na kilku scenach w krajach demokracji ludowej. Dramat Heddy Zinner „Teufelskreis”, którego tematem jest proces o podpalenie Reichstagu i w którym autorka w artystycznej formie rozprawia się z socjaldemokracją, znajduje się w planach repertuarowych wszystkich wielkich scen NRD; będzie on też grany w kilku krajach demokracji ludowej, a także w Moskwie i w Paryżu; donio-

śle znaczenie polityczne i w dziedzinie sztuki miały dwutygodniowe występy gościnne w Wiedniu; jeszcze większą rolę odegrało 13 przedstawień, danych pomimo różnych sprzeciwów w Niemczech zachodnich. Wystawianie dzieł klasycznych, zarówno niemieckich jak i obcych, wystawianie sztuk pisarzy radzieckich i krajów demokracji ludowej, powtórne „odkrycie” wielu dramatów burżuazyjnego realizmu krytycznego, na nowo podjęte, oczyszczone z dogmatyzmu, studia nad puścizną Stanisławaskiego, w połączeniu z naszymi własnymi niemieckimi tradycjami, a wreszcie dający się zauważyć rozkwit humoru i satyry — wszystko to jest radosnym objawem w obecnym stadium rozwoju naszego teatru.

Najbardziej jednakże radosnym objawem jest konstruktywne niezadowolenie z tego, co zostało osiągnięte; to bowiem niezadowolenie stanowi gwarancję, że w przyszłości osiągnięcia nasze będą i większe i lepszej jakości. Ma to tym większe znaczenie i staje się tym konieczniejsze, że w ten sposób nasza walka o zjednoczenie ojczyzny zyskuje cenną pomoc; gdyż właśnie wśród artystów na wschodzie i zachodzie naszego kraju dążenie do narodowego zjednoczenia jest szczególnie silne.

Fritz Erpenbeck

Zestawił L. BUKOWIECKI

Szczyty artyzmu czy... szmira?

Zajrzyjmy najpierw do encyklopedii. Tak np. poważnej, jak brytyjska „Universities Encyclopedia”. „Jazz” — czytamy — jest muzyką taneczną, zwykle synkopową, graną przez orkiestrę o ekscentrycznym składzie. Najbardziej charakterystyczną cechą jazzu jest hałas wytwarzany przez bęben opatrzone mnóstwem przydatków. Jeśli dodamy do tego, że jazz ma jakiś związek z folklorem murzyńskim, że przywodzi do Ameryki, a wreszcie, że w oczach wielu uchodzi za symbol dekadencji, bagna moralnego i upadku gustów muzycznych — wyczerpiemy mniej więcej wszystko, co na ten temat wie przeciętny odbiorca i słuchacz.

Kobieta, wino i... jazz

Choć brzmi to paradoksalnie, jazz, który najświetniej rozkwitł w Storeyville, zakazanej dzielnicy Nowego Orleanu, powstanie swe zawdzięcza murzyńskim pieśniom nabożnym, śpiewanym po plan-tacjach. Kiedy po wyzwolenie wojny, stoczonej przed blisko stu laty, rozszalały się znowu linie i „czarne kodeksy”, Murzyni gwałtowną falą zaczęli napływać do miast, gdzie nieco łatwiej było kryć się przed terrorem. Jeszcze trudniej za to — przed nędzą. Toteż setki kobiet zaludniły wówczas niezliczone domy publiczne Storeyville, a ich mężowie i bracia spełniali tam ciężkie posługi. Niebawem jednak znalazło się dla nich i lepsze zajęcie. W zaciśniętych buduarach i lustrzanych salach do tańca brakło muzyki dla dopełnienia uświęconej wiekami formuły: kobieta, wino, śpiew. Brakło muzyki dla pobudzenia znużonych, zwiotczonych nerwów białej klienteli. A Murzyni, wiadomo, dryg muzyczny mają już we krwi. Pozwolono im grać, co chcą i jak chcą, byle wesoło.

W takich właśnie nocnych speunkach, portowych szynkach i domach publicznych wybiły się znakomite orkiestrowe zespoły i cudowne pieśniarki. A wspaniali, genialni, choć nieuczeni pianiści doprowadzili do szczytu ową rwącą się, nieustraszoną, rytmiczną, ostrą i szarpającą muzykę fortepianową, zwaną „ragtime”; od tych cech zresztą pochodzi jej angielska nazwa. Pełnym garściami czerpali z motywów słynnych „negro spirituals” kancyczek śpiewanych jeszcze w czasach niewoli. Przetwarzali formę i rytm, treść zostawiali ta sama: utajony protest społeczny.

Muzyka w getcie

Jazz wszedł w nowy okres istnienia. Widząc jego popularność w Chicago, biali muzycy zaczęli naśladować swych ciemnoskórych kolegów i rozsiadli ich twórczość i styl po całej Ameryce. Kolegów? Nie. Murzyn nie mógł być kolegą białego artysty, nie mógł występować w wytwornych lokalach dla białych. Dopiero za czasów Roosevelta powstały pewne wyłomy, co prawda nie na długo. W białych lokalach i białych orkiestrach spotykały Murzynów także upokorzenia, że szybko wracali do getta. Za to biała publiczność ciskała się po murzyńskich knajpach i tancbudach, by słuchać wspaniałych artystów. Rozchwytywano ich płyty. Ale i płyty musiały firmować kto inny. Obdzierano przy tej okazji świetnych kompozytorów, zostawiając im grosze.

Ta strona gospodarza miała fatalny wpływ na dalszy ich rozwój. Nie wydali ze siebie żadnego wielkiego twórcy, choć folklor murzyński jest do dziś bogaty, by zrodzić własnego Szopena. A bluesom, których najlepszą odtwórczynią była Bessie Smith, mało co może dorównać w całym pieśniarstwie świata.

Zresztą jazz nie pozostał bez wpływu i na wielkich kompozytorów białych. Na jego motywach oparł Igor Strawiński „Historię o żołnierzu”, czerpał

z nich Darius Milhaud dla swe go „Stworzenia świata” i Kurt Weill do „Opery za trzy grosze”. A całkowicie jazzowa była opera George Gershwin „Porgy i Bess”, mimo zupełnej nieznajomości prawdziwego życia Murzynów. Korzenia tkwi w jazzie i wiele innych utworów muzyki klasycznej.

Twórcy i naśladowcy

Najbardziej rozpowszechniły się jednak uproszczone naśladowstwa jazzu tanecznego, a także naśladowstwa bluesów oraz tzw. jazzu improwizowanego — „hot jazz”, „rag time jazz”. W celach samoobrony, artyści murzyńscy starali się komponować itd. tak, by nie można było ich okraść. W ten sposób powstała nowa dziedzina, zwana „bebop jazz”.

Nie wynika stąd wcale, by ta naśladowcza twórczość była w całości bezwartościowa i zła. Przeciwnie, stanowiąc często dzieło ludzi pełnych talentu, odznaczała się nieraz wybitnym nawet poziomem. Ale mimo wszystko, daleko jej było do pierwowzoru. Najgorzej pod tym względem działo się tam, gdzie — jak w latach międzywojennych u nas — jazz docierał już nie z drugiej, lecz z trzeciej ręki, poprzez Wiedeń i Berlin.

Tuż przed ostatnią wojną zaznaczył się w Stanach Zjednoczonych ruch na rzecz odrodzenia klasycznego jazzu z epoki Storeyville. Chodziło o sięgnięcie do pierwotnych źródeł, oczyszczenie tej świetnej muzyki z tandetnych nawarstwień, jakie narzuciła przesadna i wyłączna komercjalizacja. Usiłowania te dały w wyniku, wśród wielu innych osiągnięć, także i szereg wspaniałych wprost nagrań. Były to nagrania nowe lub odnowione, takich znakomitości jak Louis Armstrong i Thomas Waller, Ferdinand Morton, Henry Burleigh, Charlie Christian i wielu innych twórców i odtwórców. Warto by udostępnić je polskiej publiczności. Jazz bowiem jest pojęciem bardzo rozciągłym. Obejmuje zarówno szmirę, jak i szczyty artyzmu.

Ciekawostki techniczne

2 minuty na reprodukcję książki

W ostatnich czasach podjęto próby telewizyjnej reprodukcji dokumentów. Po prostu telewizyjnie posyła się obraz dokumentu lub mikrofilm jakiegokolwiek książki, który odbiorca fotografuje i utrzuwa. Ten ostatni „krzyk” reprodukcji odznacza się niespotykaną dotąd szybkością. Przekazanie, odebranie i utrwalenie w postaci gotowej do czytania mikrofilmu tysięcy stronicowej książki trwa tylko 2 minuty i 10 sekund! (o)

Ostrożnie z ołówkiem chemicznym

W ołówkach chemicznych wkładka grafitowa zawiera dodatek barwników anilinowych, które mogą wywołać bardzo przykre i długotrwałe obrażenia tkanek.

W miejscu ukłucia ołówkiem wnika w głąb tkanek odłamany koniec ołówka, albo drobne cząstki grafitu wraz z niebezpiecznym barwnikiem anilinowym, wywołując głęboką martwicę tkanki. Wskutek rozpadu tkanek wytwarzać się mogą pod skórą jamiste przestrzenie.

Zdaniem świata lekarskiego drobna niekiedy ranka w wypadku zlekceważenia jej przez pacjenta może okazać się bardzo niebezpieczna, powodując później jakże często głęboką trudno gojącą się ra-

Nieiziszczalna mrzonka techniki

O d całych już stuleci pasję wynalazców i konstruktorów rozpalała idea „perpetuum mobile”. Rozumiano przez to urządzenie „nieustannie ruchome” po jednorazowym tylko dostarczeniu mu energii z zewnątrz. Jest to naprawdę historia wielkich ludzkich tragedii, wielu sił zmarnowanych nad przedsięwzięciem beznadziejnym, historią ludzi wielokrotnie genialnych, których błąd polegał tylko na tym, że rękawicę rzucili p r a w o m nauk fizycznych.

Przypuśćmy oto, że do urzędu patentowego zgłasza się jakiś człowiek z rulonami szkiców konstrukcyjnych pod pachą i przedstawia następujący „wynalazek”:

„Na pewnej wysokości np. 5 metrów umieszczam zbiornik ze 100 litrami wody. Od zbiornika prowadzi w dół rura, u wylotu której znajduje się turbina. Obliczam pracę, jaką wykona mój silnik po tym jednorazowym dostarczeniu mu z zewnątrz energii potencjalnej wody w zbiorniku: ponieważ 100 litrów wody stanowi ciężar 100 KG, a podniosłem go na 5 metrów, więc nagromadzona energia potencjalna wynosi 100 KG razy 5 metrów czyli 500 Kilo-gramometrów (500 KGm). Taką samą pracę 500 KGm wyda mi moja turbina, pędzona spadem wody na łopatkach koła.

Jeszcze podczas pierwszego biegu turbiny sprężę ją z pompą tłoczącą. Spadająca z góry woda obraca koło turbiny, turbina napędza pompę, woda tłoczona jest na powrót z dołu do góry. Czyż nie genialny wynalazek? Proszę tylko pomyśleć: raz tylko otworzę „kurek” u mego zbiornika, a woda, jak zaklęta, odbywać będzie zamknięty obieg: zbiornik — turbina — pompa, po czym na powrót: pompa — zbiornik — turbina. Będzie to więc prawdziwe „perpetuum mobile”! Kiedy mój wspaniały, a tak prosty w koncepcji silnik już się „rozrusza”, sprężę go z nim jeszcze prądnicą i będę miał nieustannie i za darmo energię elektryczną. Proszę kategorycznie opatentować mój wynalazek!

Trzeźwo i ściśle myślący Czytelnik zrozumiał już zapewne, na czym polega mój błąd konstrukcyjny, ale błąd naukowy naszego maniaka „wynalazcy”.

Na pierwszą połowę „wynalazku” — zgoda! Turbiny wodne pracują przecież jak świat długi i szeroki, pracując wprawdzie ze stratą ciepła, powstającego wskutek oporów i tarcia, ale pracują tak długo, do-

póki — „poziomy” nie wyrówna się. 500 KGm energii potencjalnej wody przejdzie np. w 490 KGm energii ruchu (a następnie pracy), ale 10 KGm przejdzie w ciepło (około 0,02 kilokalorii). A więc uwaga: 10 KGm energii jest już dla nas praktycznie straconych!

Czyż więc pozostałymi, a uzyskanymi „efektywnie” na wale wirnika tylko 490 KGm pracy zdolamy na powrót przepompować nasze 100 litrów wody na pierwotną wysokość 5 metrów? Potrzeba wszak na to 500, a nie 490 KGm pracy. Nie! Część wody, czyli 2 KG nie dotrze już na wysokość 5 metrów, bo zabraknie na to owych 10-ciu KGm, przetworzonych poprzednio na ciepło. Pierwszy obieg zakończy się praktycznie 10-Kilo Gramometrową stratą energii. Podobnie będzie przy drugim, trzecim i... n-tym obiegu! Spostrzegawczy Czytelnik niech tu zastanowi się i od powie sam sobie na ciekawe pytanie, po którym obiegu przed stawiane „perpetuum mobile” nieuchronnie stanie... Rzecz w tym, że przyjdzie chwila, gdy w zbiorniku, mimo jego uzupełniania przez pompę, wyczerpie się woda, bo każde następne przepompowywanie dostarcza jej mniej do zbiornika.

Tak więc nasze „perpetuum mobile”, pozornie „nieustannie ruchome”, będzie musiało nieuchronnie prędzej czy później stanąć. Z pięknych planów elektryfikacji i mechanizacji za darmo pozostanie tylko gorzka zawość.

W podobny, w zarysie, sposób można demaskować inne, analogiczne pomysły „perpetuum mobile”. Mania tych urządzeń niekała jednak nie tylko amatorów „wynalazców” amatorów ale i ludzi genialnych, wstawionych realnymi wynalazkami i odkryciami.

Wahadło ze swym pięknym i ekonomicznym ruchem, dokonywanym w myśl prawa „drgań harmonicznych” — było jedną z pierwszych „pokus” dla podjęcia bezowocnych prób nad konstrukcją „perpetuum mobile”. Wszak — gdyby wahadło zawiesić w absolutnej próżni na jakimś „idealnym” łożysku, zupełnie wykluczającym tarcie, wykluzylibyśmy tym straty na pokonywanie oporów (powietrza) i tarcia (w łożysku). Przy braku tarcia — nie powstawałoby i marnotrawione ciepło. Sek w tym, że „idealna” próżnia i „idealne” beztarciowe łożysko to tylko — pojęcia fizyczne, trudne do urzeczywistnienia przy pomocy najdoskonalszej techniki! Gdybyśmy nawet umieli zrealizować „wieczne” wahadło, drgające w „idealnej” próżni na „idealnym” zawieszaniu — to moglibyśmy tylko na nie patrzeć! Próba napędzania nim jakiegokolwiek innego urządzenia, nie pracującego już w tych samych „idealnych” warunkach, zatrzyma z czasem nasze „wieczne” wahadło. Cóż nam jednak po takim silniku, którego nie można zaprzędoć do żadnej użytecznej pracy w przeciętnych, normalnych warunkach?

Jeden z najgenialniejszych umysłów Odrodzenia, Leonardo da Vinci, przemysliwał też nad podobnym „perpetuum mobile”, polegającym na zmianach układów mas w kole „silnika”, które ciągnęła równowaga miała wprawdzie w ruch. Zorientowawszy się w beznadziejności tych prób, Leonardo zwrócił swój twórczy umysł w bardziej realnych kierunkach. Wybitny filozof i matematyk polski, Józef Hoene-Wroński również pasjonował się w próbach konstrukcji „perpetuum mobile”. Zainteresuje wielkopolskiego czytelnika szczegół, że w Muzeum Kórnickim można oglądać szkice i pewne fragmenty tej konstrukcji Wrońskiego. (O tym bardzo ciekawym matematycznie i fizycznie pomysle opowiemy przy sposobności.)

Szczególnymi, a bardzo zwodnymi odśmianiami „perpetuum mobile” są pracujące realnie silniki, które — pobierając ener-

Wahadło ze swym ruchem, dokonywanym w myśl prawa „drgań harmonicznych”, było jedną z pierwszych pokus dla maniaków „perpetuum mobile”. Rozsądniej postąpił jednak uczony Christian Huyghens, który wykorzystał wahadło do budowy zegara. Fot.: K. Przychodzki



gię w sposób dla nas niedostrzegalny — wyzwalają ją w pracy bardzo długotrwałe. Są to pozornie „perpetua mobilia”. Należy do nich na przykład silnik atomowy. W sposób dla nas trudno dostrzegalny przebiega w nim łańcuchowa reakcja jądrowa, dostarczając w „stosie” ciepła, praktycznie długo dającego się czerpać. Kie dy jednak reakcja łańcuchowa dobiegnie do swego „ostatniego pokolenia” (termin fizyki atomowej, a wcale nie popularny), dobiegnie kresu i zapas energii jądrowej, przetwarzanej w ciepło. I ten silnik więc stanie,

choćby to nastąpiło po niezmierznie długim czasie, jeżeli nie uzupełnimy zapasu jądrowego „paliwa”.

Tak czy owak, „perpetuum mobile”, nieustannie ruchomy silnik, pracujący wiecznie po jednorazowym dostarczeniu mu energii z zewnątrz, był, jest i będzie tylko mrzonką, którą można roić w najdrobniejszych szczegółach konstrukcyjnych, ale która urzeczywistnić się nie da. Taki jest już los cywilizacji ludzkiej, że może ona tylko wykorzystywać prawa przyrody, ale nie może ich tworzyć, ani obchodzić.

Środek leczniczy z jelenich rogów

Czy jelen jest zwierzęciem domowym? U nas na pewno nie! Za to w regionach dalekiej Północy żyje pewna odmiana oswojonego jelenia jako zwierzę domowe. Mowa, oczywiście, o renie, który należy do jednego z siedemdziesięciu rodzajów jeleniej rodziny. Wielki kontynent Związku Radzieckiego szczególnie obfituje w liczne gatunki jeleni. Oprócz bowiem rena, żyjącego w północnych tundrach, spotkać można również szybkiego i pięknego jelenia kaukaskiego, rzadkiego już na ogół jelenia krymskiego (jeleni Isu-bra), Marala, żyjącego w górzystych strefach Syberii i wyposażonego w olbrzymie rogi, dalej plamistego jelenia, mieszkańca kraju ussuryjskiego, wreszcie jelenia znanego pod nazwą Dam oraz wiele innych rodzajów.

SKĄD WZIĘŁY SIĘ ROGI?

Najwięcej znaną cechą jelenia są rogi, będące u tego gatunku zwierząt elementem ozdobnym oraz zaczepno-obronnym. Nauka doszła tu do ciekawych wniosków. Mianowicie ustalono, że rogi wytworzyły się u jelenia w ciągu

Nowe książki

Wędrowki przyrodnika

Czy wiecie, że niedaleko Poznania rosną rośliny, które związały się... owadami? Przed niewiele laty zjadłowa tu i zagnieżdżał się gil, dawniejszy gość zimowy. Przed 5 laty zamieszkała synagaria turecka, która wyleciała ze swojej ojczyzny w r. 1936. Oto małe i duże sensacje przyrodnicze Wielkopolskiego Parku Narodowego.

Opowiada o nich wydana ostatnio książka Jarosława Urbańskiego*, — w płóciennym oprawie, cena 17,50, oprowadzająca czytelnika po lasach, łąkach i jeziorach najbliższej poznańskiej okolicy — obszaru Osowej Góry. W swych wędrowkach przyrodnika autor zatrzymuje się często nad małym zielonolistnym owadkiem lub nad wodnikiem w skorupce, pokazuje jakby przez szkło powiększające, opowie historię jego pochodzenia, by znów zająć się innym ciekawym zjawiskiem przyrodniczym.

Książka J. Urbańskiego jest nie tylko ciekawa, ale i ładna. Ryciny i doskonałe zdjęcia podnoszą jeszcze jej wartość. Trzeba ją mieć w swojej bibliotece.

Z dużym zaдовоłeniem przyjmujemy też wiadomość o dalszych publikacjach z cyklu: „Wielkopolska w oczach przyrodnika”. Zapowiadane zeszyty mają omawiać po 2 i 3 powiaty, w zależności od wspólnych cech terenowo-przyrodniczych. Czekamy też na specjalny tomik, poświęcony historii krajo-brazu oraz omówieniu szaty roślinnej i świata zwierzęcego Wielkopolski. (J. P.)

* Jarosław Urbański: „Wielkopolski Park Narodowy”, PWN, str. 150

REZERWAT „ASCANIA NOWA”

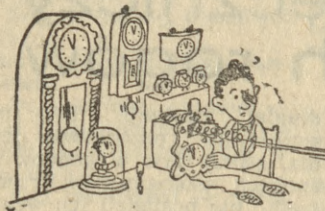
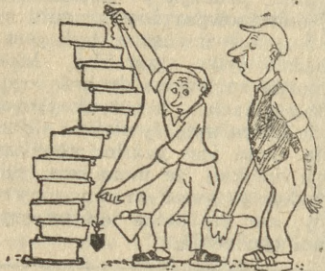
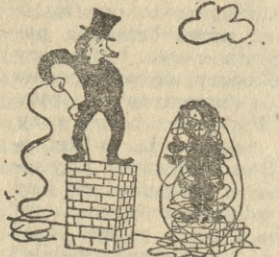
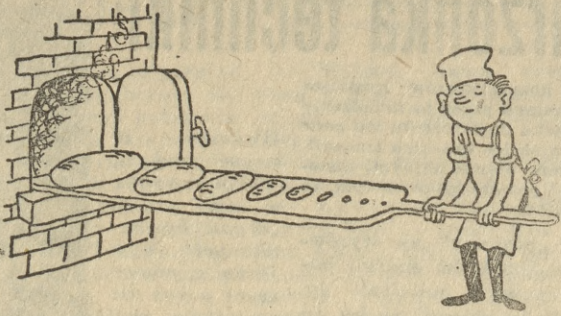
W Związku Radzieckim istnieje się życie tych pięknych zwierząt i to nie tylko dla celów przyrodniczo-myśliwskich. Centrum tej gałęzi nauki jest krymski park naturalny, utrzymany w stanie dzikim, słynny rezerwat „Ascania Nowa” założony w roku 1919 i obejmujący obszar 30 tysięcy hektarów. Ow jeden w swoim rodzaju chroniony rezerwat przyrodniczy, stał się najwięcej znanym ośrodkiem badawczohodowlanym, pracującym na zasadzie miczulinowskiej nauki biologii, szczególnie pionierskiej na odcinku hybrydyzacji oraz aklimatyzacji zwierząt. Na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat „Ascania Nowa” stała się naturalnym rezerwatem dla wszystkich występujących rodzajów jelenia. Tu powstało szereg nowych odmian na skutek przeprowadzonych krzyżowań, a nawet nowy zupełnie typ jelenia, znanego pod nazwą „jeleni askański”. Doskonałe warunki bytowania znalazł w owym rezerwacie również wspomniany już plamisty jelen ussuryjski.

ELIKSIR ŻYCIA Z ROGÓW...

Rogi jeleni posiadają specyficzną właściwość: zawierają one pewne substancje lecznicze, cenione pod względem jakościowym oraz ilościowym. Fakt ten już był znany w dawnych Chinach, a ówczesna medycyna posługiwała się odpowiednio spreparowanymi wyciągami nader skutecznie. W ZSRR zabrano się do naukowego rozgryzienia tego problemu z całym nowoczesnym arsenalem środków naukolaboratoryjnych. W tym celu pracuje w Moskwie specjalny instytut naukowy, zajmujący się uzyskiwaniem wyciągu z rogów jeleni. Instytutem tym kieruje prof. S. M. Pawlenko, a pod jego kierownictwem udało się sztabowi pracowników uzyskać cenny preparat „Pantocrin”, wpływający niezwykle korzystnie na poprawę ogólnego stanu ludzkiego organizmu. (M. J.)

Ach-
ten początek!

Rysunki: HARRY PARSCHAM
(„EULENSPIEGEL“)



Prasliki

O ankiecie

Brak jednej rubryki w cudownym komplecie:
Co wypełniający sądzi o ankiecie??

Nie tylko o czyżku

Słusznie pewien czyżek myślał sobie raz to:
„Zły to ptaszek, który kala własne gniazdo.
Więc i ja swojego też nigdy nie zbrudzę“.
Mając to na względzie — kłócił gniazda cudze.

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

Paradoks

Przedziwnie czasem losy się toczą —
Sinałkowskie kawy tak wielu —
Ci do kawiarni idą wypocząć,
Ci z niej wychodzą w tym celu.

Skromność

On spuszcza oczy! Skromny mężczyzna!
— Zwykle tak o mnie mówią niebogi.
O! Jestem skromny, lecz muszę przynajmniej
ze bardzo lubię... patrzeć na nogi.

LECH KONOPIŃSKI

Na niektórych gentlemanów

A fe! panowie — przyznajcie sami —
na estetykę miasta to zamach:
że pieski muszą pod latarniami —
czy wy, ich śladem, musicie —
w bramach...

WITOLD DEGLER

Portret kapitalisty

Kapie się w zyskach i wyzyskach,
ileś milionów, ileś aut ma —
lecz, jak wygląda ten kapitalista?
— Ot, zwykła małpa CZEKOkształtna!

Nekrolog posiedzeniarza

Bezmyślnie tkwił na posiedzeniach
gadając i do pustych stołków,
więc po długich a ciężkich głośnieciach
powiększył grono matolków.

WITOLD ZECHENTER

Dialog

— Co słysząc, Nina?
— Byłam w Operze!
— Czy na „Nizinach“?
— Nie! Na... parterze!

EDMUND KNÓPKIEWICZ

Przepis

Na dobrego satyryka oto
przepis cały:
Mieć nowe spojrzenie na
stare kawały.

JAN JAKUBOWSKI



Bez słów

Gentleman



— Czym mogę panom służyć?

Na wszelki wypadek

Znana wytwórnia bielizny
damskiej produkuje w Lyonie
(Francja) wykwinne komplety
ze spadochronów nylonowych,
pochodzących z demobilu.
Przed kilku tygodniami
mi firma owa otrzymała od
jednej z klientek reklamację.
W jednym mianowicie z zakupionych
niebieskich komplecików
znajdował się napis:
„Wpierw lic do dziesięciu, a
następnie dopiero pociągnij
za linkę zwalniającą.“

JULIAN MIKOŁAJCZAK

PREZES

(Ze zwierzeń członka kolektywu)

Dziś po południu ma się odbyć
posiedzenie rady nadzorczej
naszej spółdzielni. Prawdę mówiąc,
nikt nie wie, po co? Po prostu jeden
z wymysłów Prezesa. Zwykle
jak gdyby mało było innej roboty.
Ale, jeśli koniecznie chce, to pro-
szę bardzo. Wyskoczy pewnie, jak
zwykle, ze swoimi niedorzecznymi
propozycjami. Na szczęście, dzięki
zbawiennej zasadzie zbiorowej od-
powiedzialności, jesteśmy w stanie
nie dopuścić do pochopnych, nie-
przemyślanych uchwał.

Jeżeli Prezes wysuwa jakiś dezy-
derat, który nam się nie podoba,
po prostu nie zgadzamy się i basta.
W ostatnim czasie nie podobała
nam się większość jego wniosków.
Nie też nie wskazuje na to, by mia-
ło się na tym odcinku coś zmienić.

Kiedy po odczytaniu protokołu
z poprzedniego zebrania i sprawo-
zdania Komisji Rewizyjnej przy-
stąpiliśmy do wysuwania wnio-
sków, twarz Prezesa wyraźnie się

PAWEŁ REWICZ

TELEGRAM

Tak dalej być nie może STOP Co wy właściwie
sobie myślicie STOP Co myśli obywatel dyrek-
tor STOP Co myśli zastępca dyrektora STOP Co my-
śli i czy w ogóle myśli kolektyw kierowniczy STOP
Życie przepływa obok was wartkim strumieniem
STOP A wy co? Wy — nie STOP Stoicie na miejscu
a więc nie idziecie do przodu STOP Oznacza to, że się
cofacie STOP Zabrnęliście w ślepy zaułek wąskiego
gardła STOP Bagatelizujecie STOP Nie doceniacie
STOP Lekceważycie STOP Skandal STOP Ale my nie
będziemy tolerować STOP Wprost przeciwnie STOP
Najwyższa pora otrząsnąć się w myśl zarządzenia
z dnia 14 lipca br. STOP Numer zarządzenia 1345
STOP Zaktywizować się wg wytycznych z dnia 7 sierp-
nia STOP Za liczbą dziennika 567 łamane przez 3456
STOP Przeanalizować i wyciągnąć wnioski po linii
okólnika z dnia 20 września Nr 22478 STOP Podejrze-
wamy, że nie czytaliście żadnego z tych zarządzeń
STOP Karygodne STOP Natychmiast przeczytać
STOP Kolektywnie STOP Na głos STOP I bezzwłocznie
wprowadzić w życie STOP Dla ułatwienia informuje-
my, że chodzi o walkę z marnotrawstwem STOP
I o obniżkę kosztów własnych STOP W dniach 2, 3, 5,
7, 9, 12, 14, 16, 19, 20, 24, 26, 30 oczekujemy zwieńczonych
sprawozdań STOP Pamiętajcie — naczelnym hasłem
oszczędności STOP Pełnomocny inspektor STOP.

Anegdota

Cesarz i woźnica

Fryderykowi Wielkiemu zdarzy-
ło się, że woźnica wywrócił po-
jazd, którym jechał monarcha. —
Rozgniewany cesarz rozkazał przy-
dzielić winowajcę do innej służby.
Pewnego razu, spacerując po pa-
rku, Fryderyk dostrzegł byłego wo-
źnicę, rozwożącego zwykłym wozem
nawóz.

— Czy teraz lepiej ci niż wten-
czas, kiedyś mnie wozili? — zapy-
tał cesarz z przekąsem.

— Bez różnicy, najjaśniejszy pa-
nie — odpowiedział woźnica, nie
tracąc przytomności umysłu.

Miedzy muzykami

Słynnego kompozytora francu-
skiego — Saint-Saënsa, zapytano
kiedyś, co sądzi o Juliuszu Masse-
necie?

— To przeciętny muzyk, bez przy-
szłości — odpowiedział kompozy-
tor.

W jakiś czas potem zapytano
Masseneta o zdanie o Saint-Saënsie.

— To prawdziwy talent — od-
rzekł z entuzjazmem Masseneta.

— Saint-Saëns ma o panu wręcz
przeciwnie zdanie.

— Widać — odpowiedział
Massenet — postępuje tak samo
jak ja: mówi zawsze co innego niż
myśli.

Życie i scena

Jeden z najsłynniejszych akto-
rów niemieckich — Józef Kaniz
grał w Monachium rolę Romea. —
Partnerką jego, w roli Julii, była
młoda, początkująca aktorka. Po
przedstawieniu Kaniz powiedział
do niej:

— To ciekawe. Tworzymy typ-
ową parę aktorów: Ja na scenie je-
stem taki naturalny jak w życiu,
pani w życiu tak sztuczna jak na
scenie.

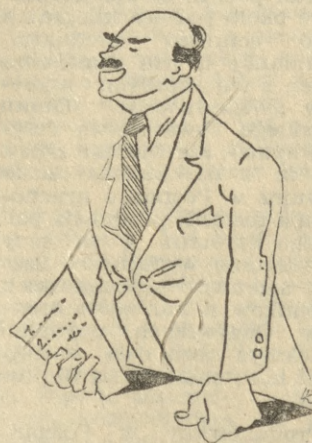
Grzeczność

Minghetti, późniejszy minister w
jednym z licznych gabinetów rządu
włoskiego, wyraził się kiedyś
niestosownie o jednym z deputowa-
nych. Kiedy prezydent Izby Depu-
towanych zwrócił mu na to uwagę,
Minghetti odpowiedział dumnie:

— Czy wie pan, panie prezyden-
cie, że nikt mnie dotąd nie uczył
grzeczności?

Na to prezydent odpowiedział
spokojnie:

— Przyjmuję do wiadomości pań-
skie usprawiedliwienie oświadcze-
nie.



ożywiła. Nie zdziwiło też nikogo,
ze poprosił zaraz o głos. Historia
powtarzała się zgodnie z tradycją
poprzednich posiedzeń. Nie wiele
zwracając uwagi na naiwne wywo-

W sprawie piórka

A wszystko zaczęło się od
tego, że ktoś powiedział
jej, iż w kapelusiku z piórkiem
byłoby jej bardzo do twarzy.
Cóż więcej trzeba mówić kobie-
cie? Już na drugi dzień, wzgar-
dziwszy wierną studenczką czap-
kę z daszkiem, przystąpiła do
twarzowym kapelusikiem z za-
bójczym piórkiem na czubku.

Piórko było rzeczywiście za-
bójcze. Dla tych zwłaszcza, któ-
rzy — jak ja — mieli pecha się
dzieć za nią w kinie. Elek Gra-
bowski mniej się napocił na
trasie niż ja na tym nieszczę-
snym seansie. Manewrujesz chy-
trze szyją na boki — gdzieś ci
tam! — piórko na planie. Ge-
rard Philipe wchodzi do hare-
mu — figa! — piórko na pla-
nie. Wykrecał nabolala szyję
na lewo — inne piórko. Na pra-
wo — dwa piórka. Spoglądasz
wokół — dziesiątki, tuziny, ca-
łe legiony piórek, prostych, za-
kreconych, tępych spiczastych,
szatańskich! Wtedy przymy-
kasz powieki, liczysz po cichu
do dziesięciu (świetny sposób
na uspokojenie), po czym pro-
ponujesz łagodnie a cicho: „Czy
nie byłaby pani uprzejma
względem tego piórka...“

Tutaj następuje część zabój-
cza nr 2 w postaci spojrzania
i miny z dąsem. No i oczywi-
ście wszyscy wokół sykać na
ciebie jako na element mało wy-
chowany i w ogóle przeszkadza-
jący w swobodnym konsumowa-
niu dóbr kultury filmowej.

Koleżanko z piórkiem — o-
strzegam! Od jutra chodź do
kina z nożyczkami!... (bi)



dy tego nieobliczalnego człowieka,
oddawaliśmy się własnym myślom
lub lekturze świeżego numeru „E-
cha Spółdzielczego“. Przesyłaliśmy
sobie karteczki z dyskretnym
przypomnieniem: „Trzymać się,
jak zwykle. Nie zgadzać się!“.

Nikomus zresztą na myśl nie przy-
szło, żeby się zgadzać.

Po paru dniach z naszych tereno-
wych placówek, rozslanych w mie-
ście i powiecie, nadeszło do rady
kilka wzruszających listów z gra-
tulaściami. Co pewien czas dzwonił
telefon i któregoś z naszych pracow-
ników stwierdzał z zadowoleniem,
że decyzje rady nadzorczej są naj-
słuszniejsze w świecie i że spoty-
kają się z pełnym poparciem za-
łogi.

Nie tak nie podnosi na duchu,
jak pochwała ze strony najbliż-
szych. I nie ma też wdzięczniejszej
nagrody za trud, jak uznanie tych
dla których się pracuje.

Na wszelki wypadek zajrzeliśmy
jednak do akt z ostatniego zebrania.
O jakie decyzje właściwie cho-
dziło?

„Z kolei — pisał protokółant w
sprawozdaniu — wysunęliśmy szereg
wniosków, postulując m. in., aże-
by: 1. Pozostawić w dalszym ciągu

Wspomnienie



— ...i w tym momencie postano-
wilem go wyminąć...

Leśne problemy



— Nigdy nie słyszałeś o sztuce
abstrakcyjnej, mój kochany?

STANISŁAW KAMIŃSKI

WYZNANIA J. J. J.

OPORTUNISTY

Światopogląd jest to „cosik“,
co pomaga zbijać... trzosik!

DWULICOWCA

Pokazuje się drugim te szlaki...
Iść z nimi? Albo głupi taki!

BLAGIERA

Zręczna blaga
wzięcie wzmacnia.

KARIEROWICZA

Ta myśl żre mnie wciąż i drę-
czy:
Co począć, gdy braknie
poręczy?

— Naliczyłam tylko 29 świeczek.
Masz jeszcze jeden urodzinowy
tort?

(z humoru holenderskiego)

na dotychczasowym stanowisku ma
gazyniera — ob. Pajdę, który od
roku systematycznie dokonuje kra-
dziejstwa surowca.

2. Nie przeznaczyć kilku tysięcy
złotych na instalację natrysków dla
załogi warsztatów ślusarskich przy
ul. Długiej.

3. Tolerować cotygodniowe pija-
tki w świetlicy spółdzielczej.

4. Patrzeć przez palce na nieod-
powiednie postępowanie wobec
młodych, ładnych kobiet kierow-
ni ka punktu usługowego nr 8 — ob.
Kajderka.

5. Pozostawić kolegium rady
nadzorczej w dotychczasowym
składzie i nie zwoływać zebrania
ogólnego załogi w sprawie walki z
klukowością.

Wszystko to wydało nam się słus-
zne i nie budzące zastrzeżeń. Ale
nie usprawiedliwiali to jeszcze en-
tuzjazmu załogi. Nie jest wykluc-
zione, że sprawę wyjaśnił co-
kolwiek ostatnie zdanie protoko-
lanta:

„Wszyscy członkowie rady nad-
zorczej wystąpili jednomyślnie
przeciwko powyższemu wnio-
skowi kol. Prezesa.“

Zdaje się, że na zebraniu Prezes
uśmiechał się nieznanie kącikiem
ust, czego dotychczas nigdy nie
czynił.